

Artur Kmieciak

"Prawo w sieci. Zarys regulacji
Internetu", Piotr Waglowski, Gliwice
2005 : [recenzja]

Palestra 51/3-4(579-580), 203-206

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

życzenia. Wystarczyło sięgnąć do jakiegokolwiek podręcznika prawa międzynarodowego, aby temu zaradzić.

Kuriozalne pozostaje stwierdzenie autorki o „45 latach obowiązywania Konstytucji PRL” (s. 42, 151). Wszak już z kursowego wykładu prawa konstytucyjnego autorka winna wiedzieć, że od 1989 r. konstytucja z 1952 r. była konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej, a trzy lata później została uchylona przez tzw. Małą Konstytucję z 17 października 1992 r. Moc obowiązującą zachowały tylko niektóre jej przepisy.

Bardzo arbitralne jest dokonane przez Martę Woźniak przyporządkowanie znanych polskich prawników do nauki prawa międzynarodowego i klasyfikacja jednych jako „współczesnych”, a innym odmawiająca tego przymiotu (s. 14 przyp. 8). Słabej korekty książki i nadzoru redakcyjnego nad nią dowodzi informacja, jakoby w czerwcu 2004 r. odbyło się w Polsce referendum w sprawie wyrażenia zgody na ratyfikację Traktatu akcesyjnego. Fatalne wrażenie robią też błędy w imionach i nazwiskach polskich prawników: K. Skubiszewskiego (s. 14 przyp. 8; s. 59 przyp. 66; s. 120 przyp. 106), J. Jodłowskiego (s. 61 przyp. 77), A. Redelbacha (s. 99 przyp. 8) oraz recenzenta książki J. Stelmasiaka (wewnętrzna strona okładki). Wypadałoby również autorce wiedzieć, że współautorką (obok W. Czaplińskiego) książki *Sędzia krajowy wobec prawa międzynarodowego* jest A. Wyrozumska, a nie – jak podaje – R. Szafarz (s. 102 przyp. 27; s. 106 przyp. 44; s. 107 przyp. 45; bibliografia – s. 225).

Wspomniałem już o słabym, niestarannym języku pracy. Niektóre jej fragmenty są tak literacko nieporadne, że aż nieczytelne (zob. np. s. 17, 19, 64, 75, 92, 110, 113). Cóż, trudno jasno i ładnie pisać o rzeczach, co do których osąd merytoryczny nie został jeszcze ukształtowany. Część winy za językową stronę pracy ponosi niewątpliwie również jej redaktor.

Podsumowując, trudno uznać recenzowaną książkę za udaną pozycję. W aspekcie teoretycznym nie rozstrzyga ona samodzielnie, czyli twórczo, żadnego z omawianych w niej problemów. Odnoszę wręcz wrażenie, że ze względu na nierzadko chaotyczną argumentację niektóre problemy zostały nawet bardziej zagmatwane. Sądzę również, że i praktycy zajmujący się prawem administracyjnym z uwagi na brak przejrzystości wywodów mieć będą z recenzowanej książki raczej niewielki pożytek.

Roman Kwiecień

Piotr Wagłowski

Prawo w sieci. Zarys regulacji Internetu

Wydawnictwo Helion, Gliwice 2005

Jest to pozycja na naszym rynku zupełnie wyjątkowa. Piotr Wagłowski, autor i administrator serwisu internetowego www.prawo.vagla.pl, od wielu lat zajmuje się zagadnieniami z pogranicza prawa oraz nowoczesnych technologii. „Prawo w sieci” jest zbiorem publikacji (w większości felietonów) Piotra Wagłowskiego udostępnionych uprzednio w wersji elektronicznej. Imponuje różnorodność tematów poruszonych przez autora – nie może to jednak dziwić, biorąc pod uwagę dynamikę zmian, jaką niesie ze sobą gwałtowny rozwój nowoczesnych technologii. Rozwój ten wkracza w coraz nowe obszary życia publicznego i prywatnego, prowokując problemy, jakie trudno nawet opisać.

Dotyczy to szczególnie tych sytuacji, w których problemy te należy ująć i opisać w języku pojęć i kategorii prawnych. Zasadnicza trudność, z jaką mamy wtedy do czynienia, to fakt, że pojęcia i normy doskonale nam znane nie bardzo przystają do zjawisk i zdarzeń, które mają wyjaśniać. Pierwszą przeszkodą, z jaką zmierzyć się musi każdy prawnik, jest kwestia nieadekwatności języka. Jak zauważa autor: „Konieczność rozwijania prawa międzynarodowego powoduje, iż aparat pojęciowy wypracowany przez dziesięciolecia w danym państwie poddany jest swoistej wulgaryzacji. Powstaje ona m.in. dzięki nieudanym próbom tłumaczenia sformułowań znajdujących się w konwencjach międzynarodowych. Własność intelektualna to już nie «własność» z polskiego kodeksu cywilnego”.

Możemy oczywiście mieć to szczęście, że problem, z jakim przyszło nam się zmierzyć, to problem zupełnie banalny, taki jak, powiedzmy, zawyżone rachunki telefoniczne. Ich przyczyną mogą być programy komputerowe (tzw. dialery) ściągane nieświadomie przez użytkowników na twardy dysk komputera, wyposażone w ukryte przed nimi funkcje. Rezultatem zainstalowania takiego dialera jest automatyczne przekierowanie połączenia na numer dostępowy 0 700. Właśnie usługi audiotekstowe stanowią dla Piotra Wąglowskiego doskonały przykład pozwalający zilustrować różnorodność problemów prawnych, jakie może wywołać jedno, jedyne, narzędzie sieciowe. „Na przykładzie dialerów widać, w jaki sposób przenikają się regulacje prawa cywilnego, karnego i administracyjnego. Jak ochrona konsumentów związana jest z problematyką, przykładowo, prywatności i ochrony danych osobowych, teorią oświadczeń woli, prawa reklamy czy przestępczości komputerowej”. Pytania, jakie można, zdaniem autora, przy tej okazji postawić, obejmują całe spektrum porządku prawnego – od tradycyjnego prawa cywilnego, poprzez prawo gospodarcze, do prawa karnego: „Czy doszło do zawarcia umowy (forma jej zawarcia, błąd lub brak świadomości przy składaniu stosownego oświadczenia woli)? Czy było widać na stronie cenę połączenia (uczciwa konkurencja, ochrona konsumentów)? Czy program dokonał automatycznie instalacji zmieniającej rejestry systemu operacyjnego (przestępstwo)? Do rozważenia jest również problem odpowiedzialności rodziców za działania swoich pociech. A w jakim języku program ma prezentować swoje komunikaty?” („Na razie – wyższa stawka ryzyka. *Premium rate services*”).

Oszustwa, wyłudzenia, wymuszenia, groźby, nielegalne przechwytywanie, kradzież i niszczenie danych, handel bronią i narkotykami, cała paleta przestępstw o podłożu seksualnym – wszystkie te znane doskonale prawu karnemu czyny mogą być popełnione także za pośrednictwem Internetu. Skoro są to zachowania doskonale znane i gruntownie opisane, to sam fakt, że zostały popełnione za pośrednictwem Internetu, nie może być przyczyną jakichś szczególnych trudności w ich rozpoznaniu i zwalczaniu. Okazuje się jednak, że nie tylko może, ale i jest taką przyczyną, na co autor „Prawa w sieci” podaje cały szereg przykładów. Sytuacja przypomina grę komputerową, w której gracz po pokonaniu kolejnej przeszkody zostaje nagrodzony możliwością zmierzenia się z następną. Później z następną, i z następną, bez gwarancji jednakże, że gra, w jakiej uczestniczy, kiedykolwiek znajdzie swój zadowalający finał.

Przywołajmy przykład włamania do komputera za pośrednictwem sieci. Oczywiście z technicznego punktu widzenia można ustalić numer IP maszyny, za pośrednictwem której dokonano włamania, ale to nie komputerowi można postawić zarzut popełnienia przestępstwa. Jeżeli ustalimy nawet posiadacza takiego komputera, to i tak mamy niewiele, jeżeli komputer ten był dostępny dla większej liczby użytkowników. Mało tego, nie można wykluczyć, że taki komputer został wykorzystany do przeprowadzenia ataku bez wiedzy i zgody jego użytkownika. („Zombi” to dość malownicza nazwa, jaka nadana została takim

maszynom wykorzystanym do zdalnego ataku na inne komputery w sieci.) Nawet jeżeli wszystko pójdzie dobrze i sprawca został ustalony i ujęty, to dowodami, jakimi zazwyczaj dysponują organy ścigania, są dowody cyfrowe. Zbiory danych, ciągi liczb, bitów, pozornych zer i jedynek, które można zresztą dowolnie modyfikować. Ten szczególny charakter dowodów cyfrowych stawia najwyższe z możliwych wymagania tym wszystkim, którzy zajmują się ich gromadzeniem i zabezpieczaniem. To samo dotyczyć musi procedur. Z tym większym zdumieniem czytamy, że prawo polskie w ogóle nie zawiera przepisów regulujących gromadzenie i zabezpieczanie dowodów w postaci zapisów cyfrowych. W tej sytuacji wszystko zależy do biegłych, których poczynania muszą budzić (delikatnie rzecz ujmując) te same zastrzeżenia co poczynania ich kolegów – biegłych innych specjalności. Dokładny opis takich poczynañ znajdziemy w felietonie „All justice for all dot.com. Ktoś powinien patrzeć na ręce biegłym sądowym”.

Wszyscy, którzy mieli jakkolwiek kontakt z Internetem, z pewnością słyszeli o problemie obecnej w sieci pornografii dziecięcej, treściach nawołujących do nienawiści rasowej czy religijnej, a nawet publikacjach stanowiących po prostu instruktaż działań o charakterze terrorystycznym czy zwyczajnie kryminalnym. Każdy rozsądny człowiek zgodzi się na powzięcie wszelkich kroków zmierzających do eliminacji takich treści z sieci, w szczególności kiedy chodzi o ochronę dzieci. Problem jednak w tym, że narzędzia, które się w tym celu tworzy, doskonale nadają się do blokowania jakichkolwiek niepożądanych treści, np. treści niepożądanych przez totalitarne czy autokratyczne rządy. Współpraca międzynarodowych korporacji, takich jak Microsoft czy Yahoo!, z rządem Chin jest tego najlepszym przykładem. W chwili kiedy pisana jest ta recenzja, życie dopisuje nowe rozdziały tej haniebnej historii. W chińskiej wersji wyszukiwarki Google próżno szukać w języku chińskim takich treści jak „Wolny Tybet”, czy „Dalajlama”. Pretensje do reglamentowania zawartości sieci zgłaszają zresztą rządy wcale nie autokratyczne. Jaki jest zatem zakres naszej wolności? Jaki jest zakres naszej prywatności? Jak się obronić przed roszczeniami władzy do kontroli tego, co robimy w sieci? Problem kolizji między wolnością i bezpieczeństwem w sieci jest równie złożony jak ten w świecie rzeczywistym. (Rozdział 2. Dynamika obiegu informacji).

To jedynie niewielki wycinek z katalogu problemów, opisanych przez P. Waglowskiego, z jakimi może zmierzyć się prawnik po zalogowaniu do sieci. Pozostaje jeszcze cała masa zagadnień dotyczących prawa autorskiego. Czy sieciowy system wymiany plików P2P jest legalny, skoro stanowi podstawowe narzędzie sieciowe do udostępniania i kopiowania danych objętych prawami autorskimi innych osób, a jednocześnie może służyć do wymiany danych całkowicie legalnych? Czy program komputerowy winien być objęty prawami autorskimi jego twórcy, czy też może objęty patentem? Jak jednak można objąć patentem coś, co nawet nie jest wynalazkiem, coś, co nawet nie jest rzeczą, a tak naprawdę jest zalgorytmizowaną logiką? Czy kopie tymczasowe stron www. w zasobach wyszukiwarek internetowych naruszają prawa autorskie ich właścicieli w sytuacji, w której samych oryginalnych stron już nie ma w sieci? (Rozdział 3. Nowa „własność”).

Podobną listę zagadnień można ułożyć z zakresu prawa nieuczciwej konkurencji, prawa znaków towarowych czy ochrony danych osobowych. Czy jeszcze dekadę temu ktoś słyszał o „kradzieży tożsamości” albo o zjawisku, które nie ma jeszcze nawet swojej polskiej nazwy – typosquattingu, czyli celowej „literówki” w nazwie domeny internetowej? Od którego momentu tzw. „głębokie linkowanie” narusza prawa właścicieli serwisów internetowych, do których te „głębokie” odnośniki prowadzą? W jaki sposób tzw. pozycjonowanie strony internetowej może naruszać prawa konkurencji? W jaki sensowny sposób poradzić sobie

z transgranicznym charakterem Internetu? To, co w danym kraju jest działaniem dozwolonym, w innym stanowi naruszenie porządku publicznego. W jednym państwie hazard jest całkowicie legalny, w innym surowo zabroniony. Aby całą rzecz bardziej jeszcze skomplikować, w tym samym państwie hazard może być nielegalny w Internecie, legalny natomiast w swojej tradycyjnej postaci. Oczywiście jak najbardziej realna jest kombinacja dokładnie odwrotna. (Rozdział 4. Niezwykły ferment rynku).

Prawdziwie polemiczny charakter ujawnia jednak autor w tych miejscach, w których zajmuje się domeną publiczną, która, jak wiadomo, przeżywa obecnie okres radoszej informatyzacji. Trudno się zresztą autorowi dziwić po przeczytaniu chociażby pierwszego z rzędu felietonu, który tematu dotyczy. Wyobraź sobie Czytelniku, że po to, aby wykonać nałożony przez ustawę obowiązek, musisz zakupić konkretny produkt, ściśle oznaczonego producenta, dodajmy, że producenta będącego międzynarodową korporacją. To przykład programu komputerowego „Płatnik”, stanowiącego część systemu informatycznego ZUS, działającego jedynie w systemie operacyjnym „Windows” firmy Microsoft. Tak dzieje się wtedy, kiedy nie jest realizowany „Postulat neutralności technologicznej państwa”. W tym miejscu warto także wspomnieć, że książka nie omija także naszego adwokackiego ogródka. Szczególnie wartym polecenia, chociażby z powodu jego aktualności, jest felieton poświęcony zagadnieniom reklamy usług adwokackich w sieci. Natomiast „Prawnicy, wirusy i poufność danych. Obowiązek zachowania bezpieczeństwa danych” to lektura, doprawdy, obowiązkowa.

„Prawo w sieci” to książka bardziej popularyzatorska niż naukowa, co autor dobitnie podkreśla, podobnie zresztą jak i to, że w wielu miejscach uciekająca się do zamierzonych uproszczeń. W żaden jednak sposób nie osłabia to jej wyjątkowej wartości. Przeciwnie – przyjęta przez autora forma felietonu, jego polemiczny temperament, swoboda, z jaką traktuje większość poruszanych przez siebie tematów, jest wielką zaletą tej książki. Czytelnikowi zostaje oszczędzone przebijanie się przez gąszcz zdań typu: „certyfikat stanowią dane potwierdzające przynależność danych służących do weryfikacji podpisu elektronicznego do określonej osoby fizycznej”. Publicystyczny charakter książki czyni ją po prostu zrozumiałą dla czytelnika nieposiadającego specjalistycznego przygotowania. Dotyczy to zarówno prawników, jak i informatyków. To czyni z książki wartościową pozycję, godną polecenia zarówno jednym, jak i drugim. Wartą zresztą polecenia każdemu, kogo interesują problemy współczesnego świata.

Artur Kmieciak